№ 45.

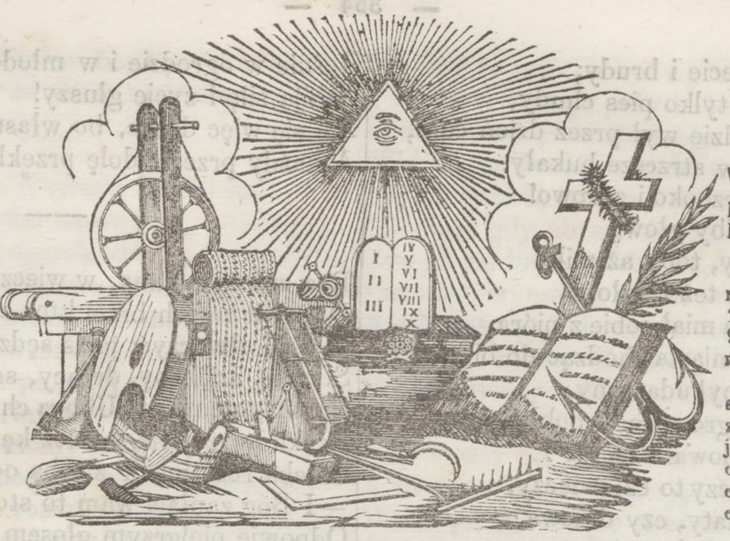
Warszawa

Dnia 28 Październik (9 Listopada)

1856.

Niedziela

26ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80. półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wzbudź, prosimy Panie! serca wiernych Twoich, aby dobre uczynki ochotnie pełniąc, coraz obfitszych pomocy od Ciebie doznawali. Modlitwa kościelna na niedzielę 26 po Świątkach.

Gawędy.

Starego szewca Macieja.

III.

Boga wzywaj, rąk przykładaj.

Marne to słowa: *dola*, *niedola*,
Jużcić we wszystkiem jest Boża wola;
Lecz ów *los ciężki*, *czarna godzina*,
Które człek Bogu rad wypomina,
Kiedy w kłopotach i biedzie stęka;
To często gęsto, nie Boża ręka,
A własna wina.
„Pracuj nieboże! Bóg ci pomoże"
Stara przypowieść i prawda święta,
Ale nie zawsze człek ją pamięta;
I gdy mu z Nieba prosto do gąbki
Pieczone nie chcą lecieć gołąbki,
A bieda coraz ostrzéj dojada,
To całą winę na szczęście składa.
Tak kmieć niedbale niwę zaorze,
Liche w zagony zasieje ziarno,
Nie w porę wyjdzie z sierpem na zboże,
I słomę widząc u siebie marną,
Gdy inni plenne zebrali kłosy,
Płacze na Boga i ciężkie losy.
Tak i rzemieślnik; co od warsztata,
Raz wraz ladaco do szynku lata,
A doma, zamiast dojrzeć czeladzi,
Dać przykład, co jest cnota i praca,
Pałkę zalawszy, z żoną się wadzi,
I całą chatę z gruntu przewraca;
Kiedy go ludzie z robotą miną,
Kiedy się czeladź wszystka odstręczy,
I gospodarstwo stanie ruiną;
To nie na siebie, na losy jęczy!—
Jak ów Pan w piśmie sługom talenta,
Losy nam dała Opatrzność święta
Wszystkim jednako, niech więc na siebie
Płacze, kto marnie talent zagrzebie.

— —

Oto wam przykład. W domku za miastem
Żyli trzéj bracia, dobre chłopaki,
Ale biedaki, istne biedaki!
Ogród, dziedziniec zarosły chwastem,
Dach się osunął, wypadły szyby,
Na ścianach rosły pleśnie i grzyby,

Studnię zasuły śmiecie i brudy;
Całym dobytkiem, tylko pies chudy,
Co w ciężkim głodzie wył przez dzień cały,
I sowy, co gdzieś w strzesze hukały.
A chłopcy rosną krzepko i zdrowo!
Czyliby ręką, czyliby głową
Wziąć się do pracy, toby aż miło!
Za życia ojców tak też i było.
Starszy, kęs chleba miał sobie z pióra,
Dzień w dzień do miasta chodząc do biura.
Młodszy do pęzla był udarzony,
I szli doń ludzie z groszem, z pokłony,
A on im cudne malował rzeczy:
Czy obraz święty, czy to człowieczy,
Czyli to wody, kwiaty, czy drzewa,
Tak przyozdobił w kolory żywe,
Że się człek patrząc na to, zdumiewa,
Jakby to wszystko było prawdziwe,
Nie malowane! Ludzka tam głowa
Zda się przemówić zaraz gotowa;
Drzewa w zielone szeleszczą liście,
A woda szumi i płynie iście! (1)
Najmłodszy z braci, przy ojca boku,
Pilnował domu, trzody, ogrodu,
A z szczerą pracą miał bez zawodu
Piękną w zarobku sumkę co roku.
Bo to do miasta odbytu wiele:
Nabiał, owoce, drób i jarzyna,
A nawet liche apteczne ziele,
Wszystko się przeda. —Tak więc rodzina
Żyła szczęśliwie w dostatnim bycie,
Każdy na swoje pracując życie,
I Boga chwaląc za święte dary.

Ale nie długo zmarł ojciec stary,
Zmarła sędziwa pobożna matka,
I rychło wszystko poszło inaczéj,
Już jak z kamienia, a nie jak z płatka,
Że choć się obwieś z ciężkiéj rozpaczy!
I rzekli chłopcy: „*taka nam dola*!"
A zaś sąsiedzi: „*ejże*! *swawola*!
Bo póki ojciec trzymał w rygorze,
Było i szczęście i dary Boże,
Bo była przy tem praca gorliwa.
Dziś starszy częściéj w kufel nalewa,
Niźli w kałamarz; młodszy obrazki
W kartach podobał, a pęzel suchy;
Najmłodszy także wszelkie już paski
Przymusu zerwał, i gdy chwast głuchy
Rośnie w ogrodzie i w młodéj duszy,
Zabija siłę i życie głuszy!
Źle się więc dzieje, bo własna wina,
A każdy przecie dolę przeklina.

———

Raz w końcu zimy, w wieczór burzliwy,
Do wrót trzech braci ktoś zakołata.
Wyszli otworzyć: jakiś sędziwy
Starzec, znękany, drżący, schorzały,
Prosił gościny.— Uboga chata,—
Rzekli uprzejmie,— lecz kęs choć mały
Chleba rozłamiem z tobą ochotnie.—
—I Bóg zapłaci wam to stokrotnie!—
Odpowie pielgrzym głosem wzruszonym,
I wraz do chaty wszedł z *Pochwalonym*.
Bracia mu radzi służą jak mogą:
Ten jasny ogień w kominie żarzy,
Ten mu podaje strawę ubogą,
A ów mu ziółka leczebne warzy.
Starzec dziękuje a błogosławi,
A wciąż przeprasza ze łzami prawie.
Aż ugoszczony szczerze choć licho,
Legł koło pieca, i zasnął cicho.
Nazajutrz w polu zamieć, szaruga,
A dziaduś cherla, trudnoż iść daléj;
Chłopcy i mówić o tém nie dali,
I tak mu zeszła u nich noc druga.
I jeszcze dzionek, i jeszcze nocka,
I cały tydzień mija w gościnie.
Puściły śniegi, w pas wszędy błocka,
Trudnoż tak w drogę iść starowinie!
Chłopcy go puścić nie chcą ni kroku,
I po dniach całych u jego boku
Siedząc, słuchają: a on im prawi
Różne różności, uczy i bawi;
Bo w długiem życiu widział on wiele,
Cierpiał dosyta, bolał dosyta;
To mówi mądrze, jak ksiądz w kościele,
A w sercu ludzkiem jak w książce czyta.
Więc i w ich serca zajrzał do głębi,
I grunt poczciwy ujrzał tam na dnie;
I żal mu chłopców, że tak bezładnie
Życie im poszło, a bieda gnębi.
Więc raz i drugi zdala zagadnie
O to i owo, i o te troski.
Chłopcy mu rzekli, że los ich taki,
Że takie szczęście, że dopust Boski.
On znów coś spytał, biorąc poszlaki,
Którędy bieda weszła do chaty:

(1) *iście*, wyraz dawny, znaczy *istotnie*, *rzeczywiście*,

I doświadczeniem długiem bogaty,
Wszystko odgadnął ze słów niewiela.

— —

Tymczasem przyszła Kwietnia Niedziela.
Pogodnie, ciepło, sucho na dworze,
Starzec się w drogę uparcie zbiera;
Na nic już prośba serdeczna, szczera;
W drogę i w drogę! zostać nie może.
Ślubował Bogu, że dni ostatki
Z kijem pielgrzymim po całéj ziemi,
Kędy brzmi chwała Najświętszéj Matki,
Wędrować będzie z modły swojemi.
W Wielki więc Tydzień gdzieś do klasztoru
Spieszy staruszek na rozmyślanie.
Więc już nie stawią chłopcy oporu,
Gdy już tak trzeba, to niech się stanie.
Żegnali z płaczem. Starzec przejęty
Szczerą żałością, na pożegnanie,
Trzem braciom dał trzy palmowe pręty,
Każdemu jeden, i rzekł wzruszony:
„Oto w kościołku brzmią święte dzwony,
Spieszcie dziateczki ku chwale Bożéj!
Niech każdy weźmie pręcik zielony,
Niech się w modlitwie szczeréj ukorzy,
Zbada swe serce, Bogu się zleci;
A powróciwszy z rószczką święconą,
Niech ją posadzi w grządkę spulchnioną;
Rószczka się rychło przyjmie, ukwieci,
W drzewko wyrośnie piękne i hoże,
A nim jesienny liść z niéj obleci,
Szczęście na waszym zjawi się dworze.
Wtedy wam wszystko łacno się uda,
Byleby od dziś pracować szczerze,
Byle z wytrwaniem, a w dobréj wierze.
Jam żebrak lichy, lecz Bóg mię bierze
Dziś za narzędzie na swoje cuda!"
To rzekł, uściskał, przeżegnał chłopce,
I poszedł z Bogiem gdzieś w strony obce.

— —

Bracia wzruszeni, dziwem przejęci,
Szli do kościoła z modlitwą łzawą,
A gdy im rószczki kapłan poświęci,
Wracają do dom, i każdy żwawo
Zatknąwszy w grządkę gałąź wierzbową,
W skok do roboty! Starszy do biura,
Młodszy do swoich pęzli na nowo.
Tydzień i drugi praca ich więzi,
A nie przychodzi myśl im ponura,
Kwitnie nadzieja w kwietniéj gałęzi,
Nie dziś to jutro, a coś się wskóra.
I w saméj rzeczy, przy końcu lata,
Spotkało szczęście starszego brata.
Widząc gorliwość i statek, władza,
Piękną posadą trud mu nagradza.
Młodszy, gdy obraz odwiózł do miasta,
Zbiegli się ludzie jakby na dziwy,
Chwaląc, wynosząc talent prawdziwy;
A gdy tak pięknie sława mu wzrasta,
Jakiś Pan możny dla Bożéj chwały,
Stawiąc w swych dobrach kościół wspaniały,
Wielkie mu skarby przynosi w darze,
Aby obrazy dał na ołtarze.
A zaś najmłodszy, czekając doli,
Wciąż po staremu w mieście swawoli,
Ale od pracy wiecznie on stroni,
A wróci do dom, to muchy goni.
Prawda, szczęśliwie! jednym zamachem
Seciny zmiata! lecz jak i wprzódy,
Puste obory, puste ogrody,
I ciągle bieda pod jego dachem!
Minęła jesień, przyszła i zima,
Już ani listka na wierzbie niéma,
Więc już i szczęście na wieki ginie!
Ginie z niedbalstwa, z własnéj swawoli,
A przecież chłopak nie swojéj winie,
A postaremu, złorzeczy doli!

Kazimierz Wielki żebrakiem.

Kto ubogi, uboższych wspiera jednak braci
To mu Bóg to policzy i z lichwą zapłaci.

—

Ostatni z domu Piastów Kazimierz IIIci, od potomności mianem Wielkiego uczczony, wstąpił był na tron polski po ojcu swoim Władysławie Łokietku (od małego wzrostu tak nazwanym) w r. 1333.—Był on jakoby zesłannikiem Opatrzności dla zagojenia ran zadanych krajowi, już to przez poprzedni jego podział pomiędzy potomków Bolesława Krzywoustego, już też przez ciągłe wojny, to o sukcessyą tronu, to o granice rozmaitych dzielnic;— i dla przyprowadzenia kraju do stanu kwitnącego wewnątrz, a poszanowania zewnątrz.

Najpierwszą czynnością Kazimierza Wgo po wstąpieniu na tron było zawarcie z sąsiedniemi państwami sojuszów, czyli traktatów, pokój i zgodę przywracających lub utwierdzających, bez

względu nawet na pewne ofiary. Pojmował to albowiem mądry Król, że nie rozległość ziemi, ale dobry zarząd i wewnętrzny dobry byt kraju potęgę jego stanowią.

Z kolei zajął sięKazimierz W. uporządkowaniem i uzupełnieniem praw, z którychjednę złożywszy całość, takowe nadał krajowi na wolnym sejmie Wiślickim r. P. 1347.—Prawa te znane są do dziś pod nazwą *Statutu Kazimierzowego* albo *Wiślickiego*.— Obok tego zwracając uwagę na ówczasową niedolę stanu włościańskiego, wziął go pod szczególną swoję opiekę, a chcąc dobrym przykładem wpłynąć na szlachtę, nietylko że urządził wzorowo królewszczyzny, stanowiąc wójtostwa i sołtystwa, którychto urządzeń pozostały do dziś ślady w dobrym bycie i zamożności tamtejszych włościan; ale badając nadto osobiście potrzeby ludu; co mu nazwę Króla chłopków zjednało, starał się przychodzić im w pomoc, już to wpływem swoim na panów, już też stosowną radą lub zapomogą.— Pod jego też panowaniem rolnictwo znakomicie się rozwinęło.

Stan miast nie uszedł także troskliwéj uwagi Monarchy: uposażył je odpowiedniemi potrzebie przywilejami i prawami— czuwał nad ich upiększeniem, nowe sam zakładał, wznosił wspaniałe świątynie i gmachy publicznego użytku,— budował warowne zamki dla obrony granic, zgoła, wszędzie czynna jego ręka była widoczną. Opiekował się przemysłem i handlem, który też pod panowaniem jego przyszedł do nieznanéj mu dawniéj świetności— a miasta wzrastały i upiększały się w murowane domy gmachy, czego najlepszy widzimy dowód w świadectwie historyi, przyznającéj Kazimierzowi Wmu, *iż zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną.*

Kazimierz Wki dobrze zasłużony ojczyźnie, szanowany od postronnych, miłowany od narodu, umarł r.P. 1370,d.5 listopada w 60 roku życia, a 37 pańowania; pochowany w kościele katedralnym Krakowskim, gdzie do dziś dnia wspaniały jego grobowiec widzieć można.

Kazimierz Wki mieszkał zwykle w zamku Krakowskim, latem zaś we wsi Łobzowie ćwierć mili od Krakowa odległéj, gdzie piękny pałac wystawił.— Ztamtąd to lubił często robić wycieczki do siół okolicznych, przebrany w suknie żebraka lub podróżnego, ażeby przekonywać się naocznie o powodzeniu, uczciwości i potrzebach swoich dzieci;bo tak nazywał ulubionych sobie kmiotków. Wycieczki te dawały pole do rozmaitych przygód, z których wam jednę tu opowiem.

* * *

Pewnego jesiennego dnia wyszedł był król Kazimierz z pałacu Łobzowskiego na zwyczajną wycieczkę, przebrany w suknie żebracze.—Z południa dzień piękny, zaczął się pod wieczór zmieniać, puścił się zimny deszczyk i wiatr powstał ostry.— Żebrak nasz pospieszał do wioski, ale nim do niéj doszedł, zupełnie się prawie ściemniło. Przemokły więc i drżący od zimna chodził od chałupy do chałupy, prosząc o przytułek na noc, ale nadaremno, bo wszędzie odmówiono mu gościnności zatwardziałem sercem, a biedny żebrak widząc, że w całéj wsi nie znajdzie duszy litościwéj, któraby się zmiękczyła cierpieniem bliźniego, zamyślał puścić się jeszcze daléj przed nocą.— Aż wychodząc z wioski spostrzegł na samym już jéj końcu chatę, w któréj nie był jeszcze, a która była najmniejsza i najuboższa z całéj włości.—Zbliżywszy się żebrak do drzwi, zapukał nieśmiało—gospodarz wyszedł, i zapytał go, czego potrzebuje?.—„Umieram z zimna i głodu— odpowiedział dziadek— dlatego proszę was w Imię Chrystusa, żebyście przyjęli mnie na noc.“—Ha! dobrze, odrzekł chłopek, biorąc go za rękę;— ale niebardzo, mój dziadku, będzie wam tu wygodnie, zastaliście mnie w wielkim kłopocie;— kobieta moja jest chora, stękanie jéj i jęki spać wam nie dadzą całą noc, ale przynajmniéj pod dachem będzie wam ciepléj, i pożywicie się razem z nami tem, co Bóg dał!“— To mówiąc, wprowadził ubogiego do izby napełnionéj dziećmi, w jednéj kołysce spało ich dwoje, na wązkim piecu spało dwóch chłopców i dziewczynka czteroletnia— a dwie starsze klęczały, modląc się za matkę, która leżała w komorze w ciągłych boleściach.—Około niéj siedziała babka, i starzy rodzice gospodarza.

„Zostańcie tu dziadku! rzekł poczciwy wieśniak, pójdę poszukać co na wieczerzę.“—Wyszedł, i wkrótce powrócił niosąc kawał razowego chleba i trochę miodu praśnego— bo wtedy więcéj pszczół hodowano, i najuboższy kmiotek miał ich kilka pni; a ziemniaków ludzie nie znali jeszcze wcale.—„Oto, rzekł, wszystko, co mamy, jedzcie w Imie Boże z mojemi dziewczętami, a ja pójdę do mojéj biednéj żony.“

Dziadek. „O bodajby miłosierdzie wasze ku mnie, gospodarzu, przyniosło wam jak największe szczęście i błogosławieństwo Nieba; ale mam nadzieję, że Bóg nagrodzi waszą miłość ku bliźniemu, z którym dzielicie się chętnie ostatnim kawałkiem chleba.

Chłopek. „Mój dziadku! proście ino Pana Boga o wyzdrowienie mojéj Hanki, bo tego najbardziéj pragnę.“

Dziadek. „A więcéj nic wam nie brakuje,— jesteście szczęśliwi?“

Chłopek. „A czemużbym nie był! choć ta trochę i dużo mam dzieci, ale się zdrowo chowają, i już się razem z człowiekiem przyzwyczaiły do biedy.— Mam żonę dobrą— rodziców jeszcze czerstwych— a moja praca wystarcza jakotako na wyżywienie ich wszystkich;— przytem nie cięży też człowiekowi nic złego na sumieniu, dzięki Bogu.“

To rzekłszy, odszedł do choréj żony, w godzinę zaś późniéj wziąwszy nowo narodzone dziecię na ręce, przyniósł je pokazać dziadkowi, mówiąc:

„Oto ósme dziecko, którem mnie Bóg darzy! — patrzcie dziadku! jakie duże i czerstwe.“

Dziadek wziąwszy dziecię na ręce, wpatrywał się w nie długo, potem rzekł z dobrotliwym uśmiechem: — „Znam ja się, gospodarzu nieco na proroctwie— umiem czytać z oczu przyszłość,— i mógłbym przysiądz na to, że dziecko to przyniesie wam wielką fortunę, bo ma twarz szczęśliwą.“

Chłopek roześmiał się na tę wróżbę dziadka, odniósł dziecko do matki,— po czem przyniosłszy wiązkę słomy, rozesłał ją na ziemi, położył się sam i dziadka na toż posłanie zawezwał,—późniéj odwróciwszy się do ściany, zasnął smaczno.

Drzwi z komory były otwarte, gdzie przy choréj świecił się kaganek— w chatce głękokie panowało milczenie— dziadek nasz nie mógł zasnąć na twardem posłaniu, przyzwyczajony do miększéj pościeli, lub może zaprzątniony myślami o szczęściu kraju i pomyślności swych poddanych.— Z kolei myśl jego zatrzymała się i na ubogiéj chacie, w któréj spoczywał— i na poczciwym gospodarzu, co mu tego schronienia tak życzliwie udzielił.— „Co za spokojność być musi w duszy tego poczciwego człowieka, kiedy tak smaczno zasnął— jeszcze nie opanowały jéj żądze samolubstwa i chciwości— o mój dobry ludu! moi poczciwi kmiotkowie! dopóty tak błogo zasypiać będziecie, dopóki idąc śladem ojców waszych, przestawać będziecie na małem, na poczciwie choć krwawo zapracowanym kawałku chleba—dopóki wiara w Boga —nadzieja w przyszłość i miłość bratnia, w sercach waszych gościć będą.—I dobry król, klęknąwszy na posłaniu, zasłał gorące modły do Przedwiecznego za lud swój ukochany.

Tymczasem świtać zaczęło, a król Kazimierz ciągle udając żebraka, pożegnał litościwego kmiotka, i odchodząc, tak mu powiedział: — „Ztąd idę prosto do Krakowa, tam znam pewnego dobroczynnego i miłosiernego pana, udam się do niego, i opowiem mu o waszéj dla mnie litości i dobrem sercu —i prosić go będę, ażeby nowonarodzone wam dziecię trzymał do chrztu,— tylko przyrzeknijcie mi, że poczekacie na mnie z chrzcinami, a ja tu najdąléj na południe przybędę.“ — Chłopek niebardzo uwierzył obietnicy żebraka, jednak chcąc mu dogodzić, przystał na jego żądanie, i obiecał zaczekać, a dziadek wziąwszy kij, rzekł: „Zostańcie tu z Bogiem.“ i odszedł spiesznie.

A gdy południe już minęło, a dziadek nie powracał, chłopek powiedział do żony: „a zwyczajnie obieżyświat jakiś,—spodziewał się pewno, że jeszcze na odchodnem wyłudzi co odemnie.—Miły Boże! jak to człowiekowi zawsze dobre złem płacą!— ale mniejsza o to:— Bóg widzi nasze chęci, nie dlategoć zresztą dajemy ubogiemu kawałek chleba, żeby nas za to czekała nagroda,—ale jeno dlatego, że głodny — więc trzeba się z nim podzielić, bo tak Pan Jezus przykazał, jak to nam na odpuście w Krakowie mówił ksiądz na tem ślicznem kazaniu, co się to ludzie aż zanosili od płaczu, pamiętasz Hanko?— bo co mnie, nigdy to już z głowy nie wyjdzie.“

Tymczasem babka spowinęła dziecinę, zeszli się sąsiedzi, i sąsiadki, z których nasz chłopek zaprosił najstarszych na rodziców chrzestnych, nie mogąc się doczekać obiecanego kuma z Krakowa, i już się zabierali razem do kościoła, gdy usłyszeli turkot wielki i spostrzegli przez okna jadące drogą przez wieś liczne bogate kolasy i ludzi na koniach.— Wszyscy wybiegli przed chałupę, przypatrzyć się świetnemu orszakowi, a w ostatku przyszedł i stary ojciec gospodarza od łoża synowéj i spojrzawszy na jadących, zawołał:—o to nasz król gdzieś przyjeżdża, to poczet jego same-

go, com go się nieraz napatrzył w Krakowie.— Zaledwie słów tych dokończył, wszystkie pojazdy zatrzymały się, oprócz najokazalszego z nich, który wyminąwszy inne, stanął tuż przed chatą poczciwego naszego kmiotka. Trudno opisać podziwienia,które go przejęło, gdy bogato przybrani hajducy (służba)wysadzili z kolasy owego żebraka i gościa nocnego, w kosztowne przybranego szaty, poprzed same drzwi jego domostwa, który do niego w te słowa przemówił: „A cóż, poznałżeś we mnie twego dzisiejszego gościa, obdartego żebraka?... Obiecałem ci ojca chrzestnego, i dotrzymuję słowa;— weź dziecię, pojedziemy do kościoła.“

Wieśniak nie mogąc przyjść do siebie z zadziwienia, poglądał na króla z radością i bojaźnią razem— na okrywające jego szaty, błyszczące kamienie i otaczający go świetny orszak dworzan.—Trudno mu było uwierzyć własnym oczom, iż pod tym majestatem widzi tego samego nędzarza,z którym nocy minionéj spał na jednéj wiązce słomy.— I trzeba było wyraźnego rozkazu Monarchy, aby go nakłonić do zajęcia miejsca w kolasie, gdzie nie wiedział biedak jak usiąść, wobec swojego króla i pana.

Gdy już wyruszyli w drogę, przemówił król do wieśniaka w te słowa:—„Wczoraj, mój przyjacielu, dopełniłeś względem mnie obowiązku chrześcijańskiego miłosierdzia i ludzkości, dowiodłeś, że miłujesz Boga i bliźniego, dzieląc się ze mną ubogą twoją wieczerzą i twardém posłaniem;—dzisiaj na mnie koléj wynagrodzenia twéj cnoty!.. Zostawię cię w stanie twoim wieśniaczym, bo mu przynosisz chlubę, bo w innym nie byłbyś równie szczęśliwym i swobodnym— ale opatrzę cię we wszystko, czego ci nie dostaje,—w piękne bydło, trzodę, sady, chatę wygodną i obszerną, ażebyś mógł łatwiéj dopełniać obowiązków ludzkości i gościnności, które w sercu swem nosisz.—Biorę także pod moję opiekę dziecię, które się przy mnie narodziło, bo musisz pamiętać jeszcze, dodał z uśmiechem, co ci wróżyłem, że ono przyniesie ci szczęście.“

Kmiotek uradowany, przejęty wdzięcznością, nie mógł słowa przemówić, łzami tylko dziękował dobremu królowi, niemniéj od niego rozrzewnionemu. — Za przybyciem do kościoła, Kazimierz Wki wziął dziecię na ręce, i tak trzymał podczas całego świętego obrządku, na którem nowo narodzonemu dziecięciu, dano na pamiątkę króla, imię Kazimierza.— Po chrzcie oddając dziecko ojcu, upomniał go, aby jak tylko chłopiec odrośnie, przyniósł go na dwór jego.

Trzaska, tak się nazywał ubogi nasz włościanin, upojony radością, powrócił do mieszkania, i oddał chłopca matce z zaleceniem,iżby troskliwie pielęgnowała królewskiego chrzestniaka.—I zdrowo chłopiec się chował, a jak tylko mały Kazio został od piersi odsadzony, ojciec zawiózł go własnym już wózkiem i dobremi końmi na zamek królewski.

Król kazał małego Kazia wychować na swoim dworze, dawać mu nauki, a ojca nie przestawał obsypywać dobrodziejstwami aż do śmierci.—Z dziecięcia tego wyrósł na pożytek ludzkości, późniéj sławny kaznodzieja, kanonik, Kazimierz Trzaska.

Tak więc pełniąc powinność chrześcijańską względem swego bliźniego, ubogi chłopek, znalazł dobry byt i szczęście na tym jeszcze świecie; jakkolwiek wypadek podobnéj nagrody zbyt jest rzadkim, każde jednak łzy wdzięczności głodnego, którego nakarmimy, obnażonego, którego przyodziejemy, oraz wewnętrzne zadowolenie z wypełnienia dobrego czynu, dostateczną dla duszy litościwéj stają się nagrodą.

Wiadomości z fizyki

Własności powietrza.

III.

Wiecie już tedy, co jest powietrze, do czego służy i z czego się składa? Teraz poznajmy główne jego własności,które są: *doskonała przezroczystość*, *ciężar* i *sprężystość*. Że powietrze jest doskonale przezroczystem, to wiecie dobrze, bo przez całą jego masę dobrze wszystko widzicie; a jak ta własność powietrza jest nam potrzebną, także sami sobie dobrze wytłumaczycie, wyobraziwszy sobie, coby to było, gdyby powietrze przestało być zupełnie i doskonale przezroczystém? — Ponieważ więc tę własność sami dobrze pojmujecie, to o niéj mówić wam nie będę—tylko wprost przejdę do drugiéj jego, także bardzo ważnéj własności, jaką jest *ciężar*. Powietrze jest ciężkie. Nie jeden z was zapewne pomyśli: „to być nie może“ przecież powietrze na nas spoczywa ciągle, a my go nie czujemy. Przekonacie się jednak, że powietrze jest ciężkie i to nawet bardzo ciężkie, z następujących bardzo jasnych dowodów. Weźcie jakie naczynie, np. banię szklaną szczelnie zamkniętą i napełnioną powietrzem, zważcie je dokła-

dnie i wagę tę dobrze pamiętajcie—przypuśćmy że ona jest funt i 6 łutów;—następnie, sposobem, który wam niedługo opiszę, wyciągnijcie wszystko powietrze z owego balonu, i znowu go zważcie, a przekonacie się, że teraz mniéj on ważyć będzie, np. funt i 4 tylko łuty. Ponieważ z niego, prócz powietrza, nic nie ubyło, on jednak o 2 łuty mniéj waży; więc widoczna, że to powietrze w nim poprzednio zawarte, waży dwa łuty.— A więc powietrze ma wagę, czyli jest ciężkie.

Drugi, nie mniéj jasny dowód ciężaru powietrza jest następny: Weźcie rurkę szklaną, wszędzie jednakowo grubą t. j. jednakowéj średnicy, i zgiętą tak, żeby jedno jéj ramię było dłuższe od drugiego o 30 cali; czyli żeby jedno miało 34, a drugie 4 tylko cale wysokości.

Ramię jéj krótsze zatkajcie palcem, a w dłuższe wlewajcie merkurjusz (żywe srebro) dotąd, aż napełni oba ramiona rurki—poczem odejmijcie palec, a ujrzycie, jak delikatnym otworem merkurjusz gwałtownie wylewać się będzie, póty, póki w obudwóch ramionach nie stanie w równéj wysokości, t. j. po 4 cale.—Zatkajcie na nowo ten sam otwór, na nowo napełnijcie całą rurkę merkuryuszem, następnie otwór ramienia dłuższego zalutujcie, to jasną jest rzeczą, że aby za odjęciem palca od otworu ramienia krótszego, merkurjusz już się nie wylewał, potrzeba do tegoż otworu dosztukować rurkę długą na 30 cali i napełnić ją merkurjuszem. Tymczasem patrzcie, co to się dziać będzie, gdy palec odejmiemy. Oto merkurjusz odleje się tylko tyle, że w ramieniu dłuższém stać on będzie o 28 cali wyżéj, niż w ramieniu krótszem i daléj wylewać się już nie będzie.—Łatwo pojmiecie, że ponieważ teraz merkurjusz się nie wylewa, więc na otworze odetkanym musi coś tak ciężyć, jak cięży słup merkuryuszowy 28 cali wysoki, a zawarty w ramieniu dłuższem, bo w przeciwnym razie merkurjusz wylewaćby się musiał;—a że na tym otworze nic innego nie spoczywa, tylko powietrze, więc to ono tak cięży.—W doświadczeniu tem wszystko jest jedno, czy rurka będzie z bardzo szerokim, czy z bardzo wązkim otworem; bo zawsze słup merkuryuszowy 28 cali wysoki, zawarty w ramieniu dłuższem—będzie utrzymany przez słup powietrzny mający za podstawę otwór téjże rurki, a za wysokość, całą wysokość atmosfery (powietrza), czyli około 9 mil.— A więc wogóle, chcąc znaleść wagę powietrza spoczywającego na pewnéj powierzchni np. na podłodze stancyi, potrzeba na tęż podłogę nalać merkurjuszu na 28 cali wysoko, zważyć go, a waga ta będzie szukaną wagą powietrza, spoczywającego na tejże podłodze.

Tym sposobem obrachowano, że człowiek średniego wzrostu, dźwiga na sobie kolumnę powietrza, ważącą około 30,000 funtów. — A dlaczegoż od tak olbrzymiego ciężaru nie zostanie zgnieciony? Na to pytanie łatwo odpowiedzieć, pamiętając tylko, iż powietrze na wszystkie strony równo ciśnie, i że ono znajduje się nietylko zewnątrz, ale i wewnątrz ciała ludzkiego.— Wyobraźcie sobie teraz dwóch chłopców równéj zupełnie mocy, z których jeden pcha jakiś przedmiot, np. deskę od siebie, a drugi tęż samą deskę pcha w stronę wprost przeciwną—choćby ci chłopcy najbardziéj wytężali swe siły, deska w miejscu pozostanie.— Toż samo dzieje się i z naszem ciałem. Powietrze albowiem zewnętrzne stara się ciągle ciało nasze wepchnąć wewnątrz, lecz powietrze wewnątrz nas zamknięte, z tąż samą mocą ciało wypycha na zewnątrz; tym sposobem tworzą się dwie siły zupełnie równe, działające w strony wprost przeciwne, więc siły te, jak owych dwóch chłopców wzajem się niszczą, a ciało nasze w spokojności pozostaje.

Poprawa nigdy nie jest zapóźną.

—

—„Niech cię Bóg prowadzi mój, mężu“ mówiła Wojciechowa, ale wracaj wieczorem prosto do domu. Dziś sobota, odbierzesz od majstra zapłatę za cały tydzień, nieśże więc ostrożnie, abyś w drodze nie stracił pieniędzy,— wszakże wiesz, jaka w domu bieda? — Wracajcie tatko prędko, bo nie mamy chleba“—odezwał się mały Antek, czepiając się szyi ojca. — Wojciech ucałował syna i wyszedł z postanowieniem niewstępowania do szynków, gdzie zwykle godziny wolne od pracy przepędzał.—A dlatego, że Wojciech często je odwiedzał, cierpiała żona i dzieci, nie było tam pokoju i zgody—nędza, rozpacz i obraza Boga nie opuszczała domu. Nie raz przyrzekał Wojciech żonie poprawę, chciał zostać dobrym mężem, ojcem i rzemieślnikiem,

lecz jak zobaczył szynk otwarty i wszedł do niego, zapominał o wszystkiem przy wódce. Tegoż samego dnia wieczorem wracał Wojciech od roboty do domu; przechodząc koło szynku, usłyszał huczną muzykę i ujrzał przez okno tańcujących.—„Wszakci to karnawał— pomyślał. Wstąpię dla zobaczenia tylko, czy nie znajdę kogo ze znajomych“— i pociągnięty nawyknieniem, wszedł w progi zabijające przyszłość tylu ludzi.— „Otóż mamy naszego Wojciecha, odezwało się kilka głosów—„chodźcie kumie do nas śmiało;nie skradaj się, bo ci to nieprzystoi“—Wojciechowi stanęła w myśli żona i dzieci i chciał wyjść—już cofnął się parę kroków, ale kieliszek pełny i zachęta przyjaciela zwróciły go z dobréj drogi. Został Wojciech w szynku, i pił tyle, ile starczył cało tygodniwy zarobek, a co ważniejsza,stracił zupełną przytomność. Z powrotem potaczał się co chwila,nie mogąc się utrzymać na nogach, aż w końcu wpadł w dół wykopany na wapno—jęknął tylko okropnie i bez pomocy wydobyć się nie mógł. A co się działo w izdebce Wojciecha, to łatwo sobie wystawić można. Zgłodniała kobieta z dzieckiem, w niepalonéj stancyi drżała od zimna, oczekując na swego męża—„Matulu, dajcie jeść“ —wołał Antek; to znowu: zimno matulu,palcie na kominie.“ Czekaj chłopczyku, ojca tylko patrzeć, a jak przyniesie pieniędzy, to choć późno, kupimy mąki i drzewa u Ickowéj, potem nagotuję klusek i podjemy za dzień cały.“— I tak upływały godzina po godzinie, a Wojtkowa jak mogła, tak uciszała jedynaka, ale głód i zimno, nie dały się słowami zaspokoić; płakał chłopczyna, i krzyczał bez ustanku. Biédna matka z sercem ściśnionem boleśnie patrzyła na cierpienia dziecka; a nie mogąc zaspokoić jego potrzeb, zaczęła szukać sposobów zajęcia go chwilowo. Lecz jakże trudno z niczego coś zrobić? Nie miała ona w domu ani grosza, ani nic do sprzedania.—W stancyi same pustki, jedno łóżko napełnione słomą, jeden stołek drewniany bez nogi, kilka garnków na kominie, i to było całe bogactwo.— Wzięła więc Wojciechowa stołek, porąbała, nakładła na komin, a obok ustawiła garnek wody niby na wieczerzę.—Niedługo zapalił się jasny ogień na kominie, i woda zawrzała w garnku, a matka ucieszona chwilowem ciepłem, wziąwszy syna na kolana, usiadła na ziemi przed kominem, dziecię złożyło główkę na ramię, i oboje usnęli. Nadedniem, gdy się rozwidniało,obudziły ją krzyki i jęki przed domem, otworzyła oczy i z podziwieniem spojrzała po pustéj izbie i na komin wygasły, na którym stała zimna woda w garnku.—Dopiero przypomniawszy sobie swoje położenie nieszczęśliwe, głośno zapłakała. W téj chwili otworzył sąsiad drzwi i za pomocą drugiego wnieśli człowieka z twarzą pokrwawioną; odwróciła się Wojciechowa ku drzwiom, i ręce załamała—a Antek nie poznał ojca wcale. Wytrzeźwił się Wojciech przez parę godzin na świeżem powietrzu, lecz z potłuczenia się i przeziębienia, dostał tak silnéj gorączki, że nie wiedział, co się dzieje koło niego. Widok zapłakanéj żony i dziecka wrócił mu na chwilę przytomność: zawołał więc z żalem. „Rzućcie mnie na słomę,niech prędzéj umrę, abym nie zawadzał na ziemi. Ja niepotrzebny mojéj żonie i dziecku, jestem pijak, niegodziwiec, niewart miłosierdzia Boskiego.“— Cicho mężu, cicho, nie rozpaczaj, nie trać nadziei w miłosierdzie Boskie.— Chrystus przebaczył tym, co Go męczyli, gdy zobaczył żal serdeczny. I ty popraw się mężu, a Bóg cię wspierać będzie — pamiętaj, że wódka niszczy zdrowie, majątek i rozum odbiera, a nawet do obrazy Boga się przyczynia— bo człowiek pijany robi źle, sam o tem nie wiedząc.

Uspokoiwszy Wojciechowa męża, pobiegła po znajomego księdza.— Przybył szanowny kapłan z pociechą duchowną, by duszę pokrzepić i z pomocą w ręku, by rodzinę od głodu zachować. Pomoc ta osiągnęła najlepszy skutek.— Spowiedź uspokoiła umysł i serce, pobudziła do serdecznego żalu,a wsparcie dało możność ratowania człowieka. Po kilku tygodniach choroby, przyszedł Wojciech do zdrowia, a za powrotem sił przybyła chęć do pracy, z nią zaś zawitał i lepszy byt do domu. Bo od téj pory nie tracił w szynku pieniędzy ani czasu, a za to miał wygodne życie, i dziś oszczędzony grosz oddaje Wojciech do kassy oszczędności.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować.Warszawa d. 26 Paździer. (7 listopada) 1856 r.—Starszy cenzor, *P. Sobieszczański.*